

Piotr Zaremba: Moje typy za 2017 rok

Konserwatyści mają dziś Ministerstwo Kultury, wpływ na PISF, w przyszłości, po wyborach samorządowych, może także na wiele teatrów. Są oskarżani o zamiar ideologizacji kultury, choć ta tworzona bez ich udziału aż ugina się pod ciężarem ideologii, czasem polityki. To spotkanie jest dla mnie naznaczone raczej wzajemną konfuzją, niezrozumieniem. I wciąż nie wiemy, co z niego wyniknie w 2018 – pisze Piotr Zaremba dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Résumé 2017

Teologia Polityczna poprosiła mnie o podsumowanie osiągnięć kultury polskiej w 2017 roku. Nie jestem recenzentem zobowiązanym do kompletnego śledzenia tej czy innej dziedziny. Nie wskażę najlepszej książki, filmu czy przedstawienia. Kulturę widzę jako całość i z tego tortu (a może z bajadery) wygrzebię kilka rodzyneków. Całkiem subiektywnie.

Z generalną uwagą, że przy potencjalnej sile polskiej duchowości był to rok przeciętny. I po stronie tych, co bronią nowego, czytaj starego. I po stronie tych, co chcą rewolucją polityczną utorować drogę powrotu dla jeszcze starszego. Także z tego, co pisali inni wnoszę, że ideologiczna wojna nie obrodziła nadmiernie dziełami. A oto rodzynki:

1. Prof. Andrzej Nowak: W kwietniu tego roku odbyła się premiera trzeciego tomu historii Polski autorstwa profesora. Eksplodują na gwałt tworzone tezy, wypalają się krótkotrwałe gwiazdy historycznej publicystyki – z prawa i lewa. Ktoś ogłosi, że polska historia to pasmo pomyłek. Ktoś inny, że zaborcy ofiarowali nam upragnioną modernizację. A profesor z Krakowa uśmiecha się z oddali. On w przeciwieństwie do tych gwiazd zagląda do archiwów, czyta źródła. Jest pełen rewerencji dla swoich poprzedników, szuka u nich mądrości. Nie stroni od hipotez, ale odróżnia przypuszczenia od pewności. I nie włączy mnie, czytelnikowi, na głowę jedynie słuszną perswazją.

Choć równocześnie ma własne zdanie, własną wizję. Dzieje Polski to dla niego nie tylko ciąg dat i imion. To opowieść o polskiej wolności. On uczy nas, że polskość to coś więcej niż wspólnota krwi i ziemi. Polskość ma swoją treść ideową. W tym sensie jego cykl to dużo więcej niż kronika. To oferta.

W grudniu Andrzej Nowak dostał od Biblioteki Narodowej tak zwane Skrzydła Dedala. Zasłużył po stokroć – i pięknym, bogatym językiem dzięki któremu czyta się jego książki jak powieści. I śmiałością też połączoną jednak w przedziwny sposób ze skromnością, jeśli nie pokorą. To dotyczy wielu innych jego pozycji z ostatnich lat – od opowieści o zapomnianym *appeasementie*, czyli próbie sprzedania Polski przez Anglię Sowiecom w roku 1920, po historyczną publicystykę dotyczącą choćby tematyki rosyjskiej. Skąd ten człowiek ma czas? Także na popularne wykłady oferowane zwykłym Polakom.

*Profesor Nowak uczy nas,
że polskość to coś więcej niż
wspólnota krwi i ziemi, że
polskość ma swoją treść
ideową*

Jest coś jeszcze.
Profesor był
pryncypialny wtedy,
kiedy to się wiązało z
ryzykiem –
zepchnięcia do
medialnego zaułka,
jeśli nie getta. A dziś

namawia prawicę i konserwatywną inteligencję, aby nie wbiła sobie do głowy, że żyje w Polsce sama, aby pojmowała cudzą wrażliwość. Dziś, kiedy prawica jest silna. Piękny przykład obywatelskości.

2. Teatr Telewizji: Odrodził się po latach, choć próby jego odbudowy ogłaszano po wielokroć. Należy sobie postawić pytanie, dlaczego nie można było tego osiągnąć wcześniej. Skąd ten kulturalny imposybilizm?

Ale oto jest. Zapowiadany jeszcze przed wakacjami tak wybitnymi premierami jak „Listy z Rosji” według markiza de Custine’a, z których Wawrzyniec Kostrzewski umiał stworzyć uniwersalne, budzące grozę widowisko o zniewoleniu człowieka. Po wakacjach dzięki decyzjom, także finansowym, mamy prawie co tydzień premierę.

„Spiskowcy” według Josepha Conrada – w ujęciu Jana Englerta piekielnie inteligentną opowieść, równocześnie o mechanizmach historii i o odpowiedzialności jednostki za swoje czyny. To jeden z najlepszych teatrów telewizji, jakie w życiu widziałem. Wielki triumf

Conrada, do którego w jego roku wracamy, bo jest czego u niego szukać. I Englerta, dla którego to ukoronowanie wspaniałej kariery interpretatora literatury.

„Brat naszego Boga” Karola Wojtyły, trudna, będąca bardziej rozpisana na głosy debatą niż dramaturgiczną historią sztuka. Paweł Woldan, świetny dokumentalista, zrobił w niej widowisko spójne i przystępne, także poprzez dodanie biograficznym wspomnień o Bracie Albercie. A równocześnie wytworzyło się w tej inscenizacji przedziwne duchowe napięcie. Także dzięki Borysowi Szycowi, świetnemu wykonawcy głównej roli, i zastępowi aktorów, którzy z pokorą przyjmowali swoją ograniczoną rolę, ale umieli wykorzystać czasem kilkadziesiąt sekund dla posłania widzowi mocnego, emocjonalnego sygnału.

„Marszałek” to pokaz możliwości współczesnej dramaturgii, gdy potrzebujemy deliberowania o polskiej historii. Biorąc na warsztat jeden dzień z życia Józefa Piłsudskiego, Wojciech Tomczyk i reżyser Krzysztof Lang postawili śmiało hipotezy, ale nie ulegli fantazjom. I spytali nas o to, czy można powiedzieć, że historia się kończy. Ale też podważyli tezę o immanentnym braku realizmu, romantycznej naiwności polskich elit. Dopełniła tego sprawna inscenizacja i wielka, tytułowa, rola Mariusza Bonaszewskiego.

Przy ostatnim przedstawieniu przed świętami zatrzymam się dłużej. „Wujek 81. Czarna ballada” to widowisko telewizyjne przeniesione z Teatru Śląskiego w Katowicach, jego premiera przypadła na koniec zeszłego roku. Autorskie dzieło dyrektora Teatru Roberta Talarczyka,

*Trudno nazwać
przedstawienia Teatru
prawicowymi. Conrad był
prawicowy? Albo Gombrowicz
z „Biesiadą u hrabiny
Kotłubaj”?*

który napisał tekst i
wyreżyserował. I
opowiedział swoją
historię,
trzynastoletniego
chłopca
obserwującego z
dachu wieżowca
„pancеры idące na
kopalnię Wujek”.

To faktycznie ballada, po części śpiewana, z pełną mieszanką stylów, łącznie z hip-hopowcem Miuoshem (Miłozsem Boryckim) jako kolejnym przewodnikiem po rzeczywistości. Nie tylko po Śląsku z roku 1981, także po tym bliższym, mającym kłopot z tożsamością, przeżywającym upadek górnictwa, zapaść starych norm i obyczajów. Aktorzy mówią w dużej mierze i śpiewają śląską godką. Powstaje zbiorowy portret. Jeden z recenzentów mówił o „odkrywaniu kolektywnej pamięci”.

Niedużo mamy takich rozmów o polskiej tożsamości. Ba, o różnych polskich tożsamościach. Pojawiały się krytyki, że sztuka demonizuje milicję, co jest absurdem, ale też że idealizuje śląskie rodziny, co można by nawet wziąć pod uwagę. Tyle że to przecież subiektywna ballada. Ja tam wierzę Talarczykowi, kiedy zadziwiająco naturalni młodociani aktorzy rozmawiają o powstrzymaniu ZOMO odwołując się do mieszanki śląskich legend i fabuły „Godzilli”, popularnego wtedy filmu. To nie musiało dokładnie tak brzmieć. Ale oddaje ducha miejsca i czasu.

Ballada nie odpowiada do końca na pytanie, jak to się stało, że najbardziej pragmatyczna grupa w Polsce, Ślązacy rzucili się umierać, w obronie swojej „Solidarności”, kiedy Polacy generalnie się cofnęli. Ale mnoży tropy, a my powinniśmy się im przyglądać. Po co? Aby się lepiej zrozumieć w obrębie wspólnego kraju.

„Dobra zmiana” bywa oskarżana o odrzucanie odrębności regionalnych w imię scentralizowanego modelu polskości. A tu telewizja „dobrej zmiany” pochyła się nad śląskimi traumami i dylematami. A przy okazji podsuwa samym Ślązakom odpowiedź na pytanie, z czego, mimo wszystko mogą być dumni. Choć będzie to duma poprzez gorycz. Tę gorycz warto próbować pojąć.

Wyłania się z tego systematyczny program masowej teatralnej edukacji – skoro pojawiły się też pierwsze przymiarki do teatru sensacji nawiązujące do popularnej „Kobry”, ma powstać teatr dla dzieci. Jeszcze raz powtórzę: była na to ostatnia chwila, niezależnie od tego, jakie są werdykty publiki: prawie 800 tysięcy dla sztuki o Piłsudskim, niespełna 300 tysięcy przy trudniejszych „Spiskowcach”. To nadal więcej niż widownia jakiegokolwiek teatru.

Ale jest i program ideowy. Trudno nazwać przedstawienia Teatru pravicowymi. Conrad był pravicowy? A przyszły papież sympatyzujący z poglądem, że na świecie jest za wiele biedy i niesprawiedliwości? Albo Gombrowicz z „Biesiadą u hrabiny Kotłubaj”, planowany na początek roku przyszłego. Trudno tym bardziej mówić o „teatrze mieszczańskim”. A to ulubiony zarzut teatralnych hunwejbiniów typu Witolda Mrozka: Chcecie teatru mieszczańskiego!

A jednak jakaś kontrrewolucja, odpowiedź na zideologizowany, skostniały w manieryczności formy, inwazyjnie lewicowy – co do treści – teatr spod znaku „Klątwy”; jest podjęta. Przez samo przywrócenie normalności. Nawet jeśli Ewa Millies-Lacroix, szefowa tego teatru, kieruje się przede wszystkim swoimi pasjami literackimi. Wystarczy silny i świadomy celu mecenas.

3. Kabaret Na Koniec Świata: Tak wiem, i profesor Nowak, i dostojni twórcy teatralni, mogą się poczuć urażeni, że wrzucam ich do jednego worka z kabaretem. No poza Wawrzyńcem Kostrzewskim, twórcą „Listów z Rosji”, który ma robić dla Teatru Telewizji „Wesele” Wyspiańskiego (ciekawym go bardzo), a jednocześnie po godzinach pisuje teksty i reżyseruje kabaretowe widowiska.

Trzy razy byłem w 2017 na tym kabarecie i zawsze czekam nań z niecierpliwością. Wcześniej ze zdumieniem patrzyłem, jak odróżniają się od większości ekip prezentowanych w ramach tasiemcowych Polsatowskich kabaretonów. Kiedy Wojciech Solarz pojedynekował się z... kalendarzem gregoriańskim (a może juliańskim), przecierałem oczy.

*Humor to też część kultury
narodowej*

To nie humor na
każdy gust, ale czy
Monty Python był
masowy, czy się
naginał? Moim

zdaniem Kostrzewski z Solarzem przybyli do nas z Jowisza zmieniać nasze poczucie humoru na monty pythonowskie.

Bywają polityczni, młóćą po głowach obecną władzę, ale i opozycyjnych celebrytów. Ale w nich nie ma nic z doraźności. Podążanie za ich poczuciem humoru to jazda bez trzymanki. Nazwanie przeze mnie konferansjera Solarza postmodernistycznym Fryderykiem Jarossym, to jakaś próba jego opisania.

Robią to po godzinach, tolerowani przez Teatr Dramatyczny na malutkiej scenie Przodownik. Zasługują na więcej, ale może dlatego są tacy, bo występują tam. Sami sobie sterem i okrętem. Pytanie do mnie, dlaczego uznają za wydarzenie coś tak niszowego, elitarnego. Dlatego, że wierzę w nich jako zaczyn nieco innego poczucia humoru. A humor to też część kultury narodowej.

To zresztą nie jedyny przypadek mojego zachwytu czymś, co jest zaliczane do kultury popularnej, a bywa mądrzejsze niż niejedna oferta poważnego teatru. Premierę mieli w zeszłym roku, ale ja dopiero w roku 2017 obejrzałem na scenie warszawskiego Ateneum „Welcome Home Boys”, przedstawienie zespołu Mumio. Nie chcą aby ich nazywano kabaretem i są czymś innym. Można podziwiać nieokiełznaną wyobraźnię każącą tym świetnym ludziom łączyć kino z teatrem, kiedy snują swoją fantastyczną baśń. I można, jak Grzegorz Górny, zauważać kapitalne, humanistyczne, jeśli nie religijne, przesłanie całości.

A co było poza tym? Na pewno duma, kiedy w warszawskim Teatrze Narodowym, chyba najlepszym dziś w Polsce, nie można dostać biletów po roku grania na „Idiotę” Dostojewskiego w reżyserii Pawła Miśkiewicza. Ba, i na granego od dwóch lat „Kordiana” – znów w interpretacji dyrektora Englerta.

Do sukcesów Teatru Narodowego doszła premiera sztuki „Nikt” Hanocha Levina w inscenizacji Artura Tyszkiewicza. Ten izraelski, zmarły już dramaturg, opowiada nam o człowieku tak, jakby nie było kryzysu tematów, ani podziału na teatr „tradycyjny” i „nowoczesny”. Widać to zwłaszcza na tle pogubienia naszych „ojcóbójców”, którzy od lat 90. prowadzą kanonadę wymierzoną w rzekomą archaiczność, ale sami są wypaleni. Zostaje im głównie politykowanie, walka z „faszyzmem” ministra Glińskiego.

Było poszukiwanie tej jednej powieści. Chyba najbliższy trafienia w moje gusta okazał się ideowo ode mnie odległy, utalentowany Jakub Żulczyk ze swoim „Wzgórzem psów”. Może ważniejsza od powieściowych przymiarek była jednak radość z lektury tomiku dramatów Jarosława Jakubowskiego. To jest naprawdę dobre, z pewnością nie „mieszczańskie” i z pewnością o czymś. Dramaturgia może żyć także w Polsce, nie tylko w Izraelu.

Było wzruszenie rodzinną opowieścią w filmie „Cicha noc” Piotra Domalewskiego. Był podziw dla próby wykreowania pozytywnego wzorca w filmie „Najlepszy” świetnego rzemieślnika (to pochwała) Łukasza Palkowskiego. Za mało takich pozytywnych wzorców w naszej popkulturze.

Wiem, że za dużo w mojej pisaninie Warszawy, napisałem, że to subiektywne, widziałem kilka pozawarszawskich przedstawień teatralnych, ale trudno mi o zachwyty. No, Jarosław Jakubowski jest spod Bydgoszczy, a Śląsk przywędrował do mnie razem z „Wujkiem 81”.

Jest jedna sfera, która pozwala mi oglądać kulturę poza warszawskimi opłótkami. To teatry szkolne i studenckie. Znowu narażę się na zarzut mieszania porządków. Trudno.

Oto Elżbieta Piniewska, opiekunka Inowrocławskiego Teatru Otwartego, bierze na warsztat rodzinną, nie całkiem realistyczną psychodramę „Pustostan”. Oto Teatr Bez (Pre) Tekstu z poznańskiego Liceum im. Marcinkowskiego pod kierunkiem Wiesławy Wójcik odnosi się w przedstawieniu „Scenki rodzajowe” do przemian obyczajowych, w duchu tradycyjnej wrażliwości. Oto Mieczysław Wojtas, twórca lubelskiego teatru Panopticum ze swoimi młodymi wychowankami, oferuje nam refleksję na temat zatraty granicy między światem wirtualnym a realnym („Escape”) czy ostatecznego upadku człowieka po narkotykach („Odłot”).

Wszystko to czasem na motywach współczesnej dramaturgii („Pustostan” – Malina Prześluga, „Scenki” – Michał Zdunik, „Odłot” – Iwan Wyrpajew), a czasem własnych scenariuszy („Escape”). Myślę, że łapią ducha naszych czasów lepiej niż wiele teatrów profesjonalnych. A kiedy ksiądz Mariusz Lach ze swoim KUL-owskim teatrem ITP robi w Lublinie wydarzenie z rockowej, do szpiku kości chrześcijańskiej opery „Prorock”, odnoszę wrażenie, że w dziedzinie poszukiwania

duchowości ci młodzi ludzie i ich opiekun są gdzieś mocno z przodu. Nie stawiam profesjonalnych przedstawień w jednej konkurencji szkolnymi spektaklami. Ale warto patrzeć na szczyty i na podstawy.

No i warto pamiętać jeszcze o jednym. Zbiór publicystyki Dariusza Karłowicza „Polska jako Jason Bourne” pokazuje, że opłaca się pozytywistyczne, żmudne inwestowanie w kulturę. I budowanie własnych środowisk.

Marek Horodniczy wytykał w świątecznym Plusie Minusie prawicy, że niepotrzebnie wojuje z całą współczesną sztuką. Czasem to kwestia nieprzekraczalnej granicy gustów, smaków. Ja sam to odczuwam wobec wielu nowinek teatralnych. Ale wysiłek przełamywania granic się opłaca. Konserwatyści mają dziś Ministerstwo Kultury, wpływ na PISF, w przyszłości, po wyborach samorządowych, może także na wiele teatrów. Są oskarżani o zamiar ideologizacji kultury, choć ta tworzona bez ich udziału aż ugina się pod ciężarem ideologii, czasem polityki. To spotkanie jest dla mnie naznaczone raczej wzajemną konfuzją, niezrozumieniem. I wciąż nie wiemy, co z niego wyniknie w 2018.